



168

CIEŃ NA EKRANIE

Z PODEJRZLIWOŚCIĄ patrzę na sceniczną adaptację wielkich dzieł literackich, ponieważ ani razu nie udało mi się dostrzec takiej inscenizacji, która by w pełni mnie zadowolila. Owszem, widziałem i w teatrze i w telewizji mniej lub bardziej udane ilustracje książek, nieraz nawet średniego lotu, nieraz dobre, ale nigdy nie wykraczające poza, jeśli tak to można sformułować, reproduk-

cję. I myślę, że to w ogóle jest niemożliwe, choć próbować warto i to warto z wielu względów. Bywa bowiem i tak, że nawet kiepska adaptacja przywraca prozie popularność, rozbudza zainteresowanie czytelnicze, staje się powodem sporów literackich, a przecież każdy z owych skutków ma swój niebagatelny sens. Ale bywa też tak, że telewizja zniechęca do dzieła, którego kiepska interpretacja sceniczna neutralizuje zainteresowania oryginałem. Wszystko zależy od okoliczności i sposobu przystosowania teatralnego.

Trudno bowiem oczekiwać niepowtarzalnej stylistyki, jedynego klimatu, szlachetnego rysunku postaci tam, gdzie zawodne staje się wszystko. Bo zawieść może aktor, zawieść może reżyser, scenograf, kamera, obraz, wszystko lub prawie wszystko. A wystarczy przecież, że zawiedzie kamerzysta, że osłabi rytm przekazu, że zamaże to, co wymaga ostrości i

na nic wtedy wysiłek aktorów, geniusz reżysera i sprawność aparatury. Z dzieła literackiego pozostanie, szeszatkowe, nieraz upiornie paskudne widowisko.

Ale zdarzają się również wypadki, że dopiero ekran telewizyjny, czy scena teatralna podnoszą wartość adaptowanej, miernej książki, gubiąc z niej to wszystko, co jest słabe i złe.

Wtedy można właściwie mówić o sukcesie, a przynajmniej o skuteczności zabiegów artystycznych. I o ile to się zdarza i jest to możliwe w przypadku propozycji mniejszego lotu literackiego, to prawie niemożliwe — jak rzekłem — wtedy, gdy mamy do czynienia z dziełem wybitnym. Chyba by zaistniała sytuacja idealna, gdy talent i wrażliwość reżysera, indywidualność scenografa, możliwość aktorów i sprawność operatora stworzyłyby spójny, rozumiejący się wzajemnie świat. Wtedy mogłoby powstać dzieło więcej niż udane. We wszystkich innych przypadkach powstają

cienie na ekranie. Tak, jak cieniem wielkiego Conrada była inscenizacja „Lorda Jima” w reżyserii Lidii Zamkowskiej.

I na nic się zdała obecność wielkiej klasy aktora, Leszka Herdegena, grającego Jima, na nic próba uwspółcześnienia porządku zdarzeń, na nic wreszcie zabiegi kamerzysty, który usiłował ratować spektakl efektami z pogranicza nowoczesnego kina i teatralnych eksperymentów. „Lord Jim” w wersji telewizyjnej zmizerniał, skurczył się do wymiarów szytej grubymi nićmi dydaktyki, stracił na sile moralnych przekonań, stał się słabym echem siebie samego, prawie nierozpoznawalnym.

Złożyło się na to wiele czynników. Niewątpliwie pierwszym była nieprzekonująca reżyseria, miejscami tyle efektowna, co efekciarska, tyle skuteczna, co manieryczna. Ale przede wszystkim żalosna gra aktorska, właściwie nijaka, z — co krok — widocznymi, elementarnymi błędami.

Pełna sztuczności i tanich gier. Nie uwolnił się od nich też Herdegen. A już zupełnie źle zapisali się inni wykonawcy. No i scenografia, mająca elementy egzotycznej urody, razila naturalizmem i pretensjonalnością.

Wielka Conradowska problematyka moralna, wierności zasadom etycznym, honoru i godności, wyboru prawdy wewnętrznej — zbladła w tej dramaturgii telewizyjnej. W niektórych zaledwie scenach można było odnaleźć ślad potężnej siły prozy, która bije z każdej strony Conradowego dzieła. No cóż, żal. Żal, że szansa została stracona. A tak nam trzeba — w świecie rozpadających się wartości — wielkich wzorów moralnych, propozycji ludzkich postaw, które by przywracały człowiekowi to, co człowiecze: wierność zasadom moralnym, godność, dobroć, rzetelność myślenia i działania.

JACEK KOWAL